

ROK,
W KTÓRYM

widnokrąg

ZMIENIŁY
SIĘ

MAPY

DANIELLE
BINKS

PRZEŁOŻYŁA ANNA KLINGOFER-SZOSTAKOWSKA

DANIELLE BINKS

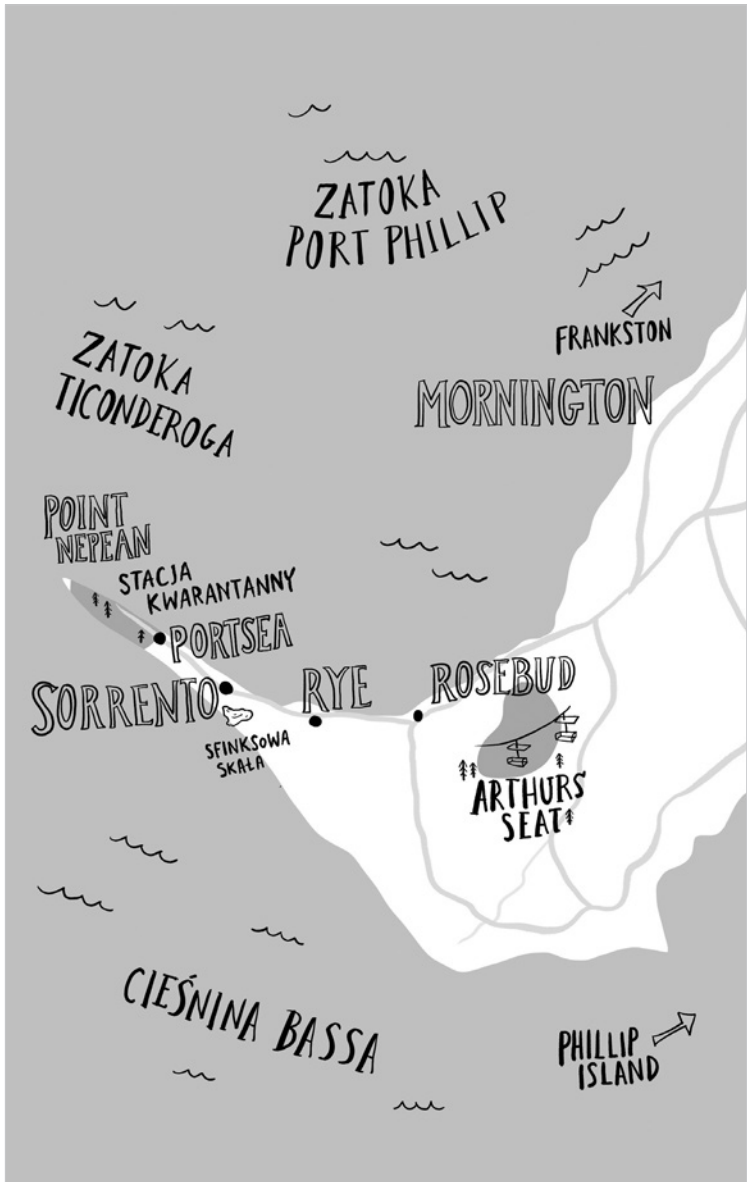
ROK,
W KTÓRYM
ZMIENIŁY
SIĘ
MAPY

PRZEŁOŻYŁA
ANNA KLINGOFER-SZOSTAKOWSKA



widnokrąg

Piaseczno 2023



ZATOKA
PORT PHILLIP

ZATOKA
TICONDEROGA

FRANKSTON

MORNINGTON

POINT
NEPEAN

STACJA
KWARRANTANNY

PORTSEA

SORRENTO

SFINKSOWA
SKALA

RYE

ROSEBUD

ARTHURS
SEAT

CIEŚNINA BASSA

PHILLIP
ISLAND

PROLOG

Mapy kłamią. A przynajmniej nie zawsze mówią prawdę. Pod tym względem przypominają nas, ludzi.

Pan Khouri mawiał, że to dlatego, że nie mogą opowiedzieć wszystkiego. Ani o miejscu, ani o ludziach, którzy w tym miejscu żyją. Mapy nie wspominają nic o własności, rodowodzie ani historii wybranego kawałka ziemi. Mapa nie mówi nawet, gdzie zacząć czy skończyć – te, na których można zobaczyć oznaczenia „Wyrusz stąd” i „Twój cel jest oznaczony krzyżykiem”, pojawiają się tylko w filmach albo w kolorowankach na podkładkach z dziecięcym menu w restauracji. A więc my, którzy żyjemy tam, gdzie pokazują mapy, sami musimy wybrać, do jakiego celu dążyć.

Ostatnio doszłam do wniosku, że nie ma większego znaczenia, dokąd ostatecznie się trafi, jeśli nie pamięta się, jak się tam dostało. Jak powiedziałyby mój dziadek: „Nie liczy się cel, tylko sama wędrówka”.

Przypominanie sobie jest niczym powrót po śladach własnych stóp. W tej historii jest tyle różnych ścieżek, że trudno się połąpać, którą wybrać. Ale muszę wytyczyć drogę, aby zobaczyć wszystko, co

wydarzyło się tamtego roku: spotkanie Nory, operacja „Bezpieczna Przystań” i pojawienie się dziecka, którego nie mogliśmy zatrzymać.

Miałam dwanaście lat, kiedy to się zaczęło i trzynaście, gdy się skończyło. Ale tego nie da się zobaczyć na mapie, tam nie ma całej prawdy – czułam bowiem, że dystans, który pokonałam, był znacznie większy.

WSPOMNIENIA JAK GÓRY

Arthurs Seat to szczyt tutejszego pasma górskiego. Nazwano go tak, bo przypomina inne miejsce, w Szkocji, lecz ku mojemu rozczarowaniu okazało się, że nie ma nic wspólnego z królem Arturem ani rycerzami Okrągłego Stołu.

W zeszłym roku dowiedzieliśmy się, że lud Bunurongów nazywał tę górę Wonga, a u jej zboczy urządzał zgromadzenia Aborygenów zwane Wango – prawdopodobnie mniej więcej tam, gdzie teraz jest parking samochodowy.

Z samego wierzchołka Arthurs Seat wyraźnie widać półwysep Mornington, gdzie mieszkamy, i cały obszar zatoki Port Phillip, od czubka Point Nepean po srebrne miasto Melbourne migoczące w oddali. Na szczyt góry wjedziecie wyciągiem krzesetkowym.

Luca zabrał mnie tam po raz pierwszy, kiedy miałam sześć lat, w roku śmierci mojej mamy.

Miałam wtedy obsesję na punkcie dużych wysokości. Któregoś dnia o mało nie przyprawiłam wszystkich o zawał, gdy wygramoliłam się przez okno pokoju naszego sąsiada Jeda Trâna na stromy, pokryty gontem

dach. Byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby dotrzeć do krawędzi, czego, jak mi się wtedy wydawało, pragnęłam, więc w końcu usiadłam gdzieś pomiędzy rynną a oknem. Tkwiłam tam niczym rzucone przypadkiem frisbee, aż dziadek zadzwonił po Lucę, żeby mnie stamtąd zdjął.

Luca podjechał z rykiem silnika swojego policyjnego motocykla. Od razu poszedł do garażu po drabinę, podczas gdy dziadek wołał do mnie z dołu, żebym się nie ruszała.

Z wnętrza domu dobiegał głos mamy Jeda, Vi, która besztala syna za to, że pozwolił mi tam wejść i że nie miał dość rozsądku, żeby zawołać ją od razu, kiedy się zorientował, co kombinuję.

Kiedy Luca w końcu wdrapał się do mnie, szloch wrywał mi trzewia, ale nie dlatego, że się bałam. Gdy usłyszałam, jak mama Jeda tak na niego krzyczy, dotarło do mnie, że moja już nigdy tego nie zrobi.

No cóż, Luca ściągnął mnie na ziemię i udowodnił, że ojcowie potrafią się wydzierać na nierozważne dzieci równie dobrze jak matki. Potem zapytał mnie, co w ogóle chciałam osiągnąć.

– Chciałam ją zobaczyć – odparłam.

– Ale kogo, Freddo? Marię? – Pokręcił głową. – Twoją mamę?

Kiwnęłam głową.

– Niebo jest tak blisko. – Wskazałam palcem wielki bezkres. – Chciałam tylko ją zobaczyć. – W tamtym

czasie wszyscy powtarzali mi w kółko, że mama jest teraz w niebie, cała i zdrowa, i stamtąd patrzy na mnie.

Nadal pamiętam dotyk poliestrowej koszuli policyjnego munduru Luki i to, jak pachniała solą i wodą po goleniu i jak płakałam w nią chyba przez całą wieczność. Wyjaśnił mi wtedy kilka spraw. Między innymi to, że niebo nie jest prawdziwym miejscem, to tylko taka przenośnia, a już na pewno nie da się tam wspiąć. I to, że nie ma nic złego w tym, że chciałam być bliżej mamy. Po prostu niewłaściwie się do tego zabrałam.

Luca zrobił sobie wolne do końca dnia. Chciał pokazać mi jakieś wyjątkowe miejsce. „Nasz własny zakątek nieba”, powiedział. I zabrał mnie na wyciąg krzesetkowy na Arthurs Seat.

Podwójne metalowe krzesetka osłonięte niewielkim baldachimem przypominającym parasol sunęły na rozkołysanej stalowej linie. Jedynym zabezpieczeniem był cienki metalowy pręt nad kolanami. Wyciąg miał dziewięćset pięćdziesiąt metrów długości, a jego trasa zaczynała się czternaście metrów nad poziomem morza. Tego wszystkiego dowiedziałam się z tabliczek przy kasie biletowej.

Widok stamtąd był niesamowity. Pamiętam, jak pomyślałam, że podeszwami butów mogłabym dotknąć wierzchołków drzew. Gdyby mama była z nami, bardzo by się jej tu podobało.

Luca domyślił się, co mi chodzi po głowie.

– Twój dziadek mówi, że Maria uwielbiała ten wyciąg, gdy była młodsza – powiedział. – Ale pewnie nie aż tak mała, jak ty teraz.

Rzeczywiście byłem za mała na tę przejażdżkę. Operator wyciągu trochę się wahał, czy pozwolić mi wsiąść, ale policyjny mundur Luki najwyraźniej go przekonał, bo ostatecznie sprzedał nam bilety. Luca chyba też nie był pewien, czy dobrze zrobił. Przez całą drogę trzymał swoją dużą dłoń na kotnierzyku mojej sukienki i słyszałam, jak głośno przetyka ślinę, gdy machając nogami, rozbijałam krzesetko.

Tamtego dnia nie znalazłam się bliżej nieba. I nie jestem pewna, czy dziś w ogóle w nie wierzę, ale wtedy na pewno miałam wrażenie, że jestem bliżej mamy. Od tamtego czasu Luca i ja co roku wyprawialiśmy się razem na Arthurs Seat. Jadąc wyciągiem, rozmawialiśmy o mamie. Tylko we dwoje, w sposób, w jaki nie mogliśmy tego zrobić, gdy mocno staliśmy stopami na ziemi.

Przynajmniej tak było kiedyś.

Doszłam do wniosku, że wspomnienia trochę przypominają góry. Trzeba wspiąć się na szczyt i zyskać pewien dystans – co pan Khouri nazywa perspektywą – żeby spojrzeć w dół i dostrzec, jak daleko się zaszło, zobaczyć wszystkich ludzi i wszystkie podjęte decyzje, które tworzą mapę naszego życia.

IM WYŻEJ

W przedostatni wtorek ferii szkolnych w styczniu 1999 roku ja, Luca, Anika i Sam wjeźdzaliśmy na Arthurs Seat samochodem. Droga wiła się serpentyną ku górze. I choć miałam za sobą już chyba z tuzin podróży tą trasą, nadal lekko zieleniałam, jak mawiał dziadek, gdy szarpało na zakrętach. Mój żółdek odjeżdżał w jedną stronę, gdy samochód skręcał w przeciwną.

Przynajmniej teraz, gdy byłam starsza, wiem, że trzeba patrzeć na wprost, przed siebie, a nie zerkać w dół na urwiska, nad którymi ciągnie się droga. Nie pytajcie dlaczego, ale bezpieczniej czułam się na tych rozhuśtanych metalowych krzesetkach niż w samochodzie wchodzącym ciasno w zakręty.

Sam nie wiedział, że nie należy wyglądać przez okno, a ja nie miałam ochoty go ostrzegać. Siedział za Lucą z nosem przyklejonym do szyby i obiema dłońmi ścisnął uchwyt przy suficie auta. Ze swojego miejsca za fotelem Aniki widziałam, że ona kurczowo trzyma się uchwytu na drzwiach. Jej zbiegłe knykcie wyglądały, jakby zaraz miały wystrzelić.

– Jak się wszyscy mają? – zapytał Luca.

– Dobrze! Świetnie! Daleko jeszcze? – W głosie Aniki nie było słychać entuzjazmu.

To dziewczyna Luki, ale on tak o niej nie mówi. Nazywa Anikę swoją partnerką, jakby pracowali nad szkolnym projektem albo jeździli razem radiowozem.

Sam to jej syn z pierwszego małżeństwa. Ma jedenaście lat, jest o rok młodszy ode mnie. Wyglądają z Aniką jak klony. Mają ciemnozielone oczy i ładne długie rzęsy, do tego oboje noszą okulary. Tylko włosy mają inne – on ma krótką czuprynę ciemnobrązowych loczków, a włosy Aniki są długie, kręcone i sprężyste.

Ja też jestem podobna do swojej mamy, a przy najmniej dziadek tak uważa – a on to wie, przecież był jej tatą. Jestem wysoka jak na swój wiek i tyczkowata, mam niebieskie oczy i proste jasne włosy z grzywką. Mam też tak samo jak ona jasnobrązowe piegi. Luca mawiał, że na naszych nosach można by grać w kropki.

Zaliczyliśmy kolejny zakręt, a ja zobaczyłam, jak Luca wyciąga rękę i poklepuje Anikę po nodze. Potem położył dłoń z powrotem na kierownicy i powiedział:

– Pomyślcie tylko o widoku ze szczytu! Warto się trochę przemęczyć, prawda, Freddo?

– Prawda. Totalnie warto – odpartam obojętnie. Mój głos brzmiał oschle. Luca spojrział na mnie w lusterku wstecznym i zmarszczył brwi, jakby chciał powiedzieć: „Zachowuj się ładnie, bądź uprzejma”.

Od kiedy Anika i Sam wprowadzili się do nas dwa miesiące temu, Luca ciągle mi powtarzał, żebym starała się zachowywać jak najlepiej. Chciał, żebym była super uprzejma i serdeczna, bo teraz jesteśmy rodziną. Ale mnie to nie przypominało żadnej rodziny. Nie byliśmy tacy jak wtedy, gdy mieszkaliśmy we troje: dziadek, Luca i ja. I choć prawie nie pamiętam czasów, zanim skończyłam trzy lata, i mama i Luca się pobrali – kiedy naszą rodzinę tworzyliśmy tylko dziadek, mama i ja – to wtedy też wszystko było zupełnie inaczej niż teraz.

Anika chciała na nas spojrzeć, ale pas jej się za-blokował, więc widziała jedynie Sama, który nadal wyglądał przez okno.

– Cieszysz się, skarbie?

Udał, że jej nie słyszy.

– Jak wysoko jesteśmy? – zapytał, a od jego od-dechu zaparowała szyba.

– Powinieneś o to zapytać Fred! Byli tu z klasą na wycieczce w zeszłym roku, dobrze pamiętam, Fred-do? – Anika próbowała się do mnie odwrócić, ale widziałam tylko bok jej twarzy i jeden z policzków wybrzuszony w uśmiechu.

Nie mogłam znieść tego, w jaki sposób Anika przymierała wszystkie wersje mojego imienia. Nadal nie zdecydowała się na żadną z nich. Miałam ochotę jej powiedzieć, żeby nazywała mnie Winifred, ale Luca mógłby uznać, że to nieuprzejme.

Dostałam imię po babci, której nigdy nie poznałam. Dziadek nazywa mnie Fred, Luca mówi do mnie Freddo, a dla mamy zawsze byłam Winnie. Kiedyś zapytałam dziadka, dlaczego nie nazywają mnie tak samo, a on odparł, że nie wie. Może wszyscy chcieli mieć po kawałku mnie tylko dla siebie. Ostatnio zastanawiałam się, jaką część mama zabrała ze sobą, gdy umarła, i myślałam o Winnie, którą byłabym, gdyby wciąż żyła. Chciałam porozmawiać o tym z Lucą, gdy znajdziemy się trzysta czternaście metrów nad poziomem morza.

Z rozmyślań wyrwał mnie zniecierpliwiony głos Sama.

– To jak wysoko jesteśmy? – Odwrócił się od okna i patrzył na mnie. – Wiesz w ogóle?

– Nie pamiętam.

*

W zeszłym roku pan Khouri pokazał nam mapę. Wyjaśnił, że to mapa warstwiczna, a narysowane na niej linie to poziomicę, oznaczające doliny i wzniesienia. Pokazał nam, jak czytać taką mapę: jak znaleźć wąwozy, jak wzgórze, a jak strome szczyty. Im mniejszy obszar otaczają kolejne poziomicę, tym większa wysokość. Arthurs Seat otaczały bardzo ciasno. Pan Khouri zapytał, co nam takie linie przypominają. I chyba trochę się zdziwił, że to ja tak szybko zgłosiłam się do odpowiedzi.

– Tak, Winifred?

– Wyglądają trochę jak... linie papilarne?

– Masz zupełną rację, Winifred! – Pan Khouri naprawdę totalnie się rozpromienił! – Nasze miejsce na mapie jest częścią nas jak nasze odciski palców. Wszystko, co zdarzy się w naszym miejscu na mapie, każde poruszenie, poruszy się i w nas. A konsekwencje roztaczają się dokoła, niczym poziomice wokół szczytów gór, dotykając wszystkich i wszystko, co spotkają na swojej drodze. Jak fale.

Tymczasem inna fala już zaczęła się roztaczać i obejmowała coraz większy obszar. Ostatnio pomyślałam, że może to trwać nadal, do dziś.